

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

NIEDAWNE, ŻYWE, A JUŻ ZAPOMINANE PRAWDY

NIEDYSKRECJE:

Rezolucja Rady Ligi Narodów	162
Rewolucja w Meksyku	"
NIEDAWNE, ŻYWE, A JUŻ ZAPOMINANE PRAWDY	162
NOWY GOSPODARZ BIAŁEGO DO- MU — Fl. S.	164
NA MARGINESIE DEBATY MNIEJSZOŚCIO- WEJ W GENEWIE — W. O.	165

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI

Trz. a pomoc Jastrzębowskiemu — <i>Juljusz Ka- den-Bandrowski</i>	169
Chłopska fura. Zwyczajność. — Szum świata. — <i>Stanisław Ciestelczuk</i>	170
Niedostrzeżone Czimborasso — <i>Paweł Hulka-La- skowski</i>	"
Na marginesie — <i>jkb.</i>	172
Biblijografia państwowa i narodowa — <i>Tadeusz Sterzyński</i>	173
Z życia kulturalnego Włoch — <i>Fr. S.</i>	175
Kronika zagraniczna	176
Odpowiedzi	"

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

REZOLUCJA RADY LIGI NARODÓW w związku z wnioskami min. Stresemanna i senatora kanadyjskiego Danduranda wywołała konsternację w Niemczech. Jako protektor mniejszości narodowych, nie zdobył min. Stresemann laurów w Genewie. „Wilki w obronie jagniąt“ — pisze o nim dosadnie prasa francuska. Któż bowiem uwierzy, iż Niemcom, które w tak niedawnej przeszłości były twierdzą wojującego nacjonalizmu i nie znaly innej metody rozwiązywania problemu mniejszości narodowych, jak bezlitosne ich tępienie, że Niemcom, w których żyją jeszcze tradycje hakaty i Ostmarkenvereinu, chodzi tu o obronę abstrakcyjnej sprawiedliwości? Jasnem było natomiast, że pod płaszczykiem wzniosłych frazesów w wystąpieniu min. Stresemanna ukrywały się inne cele, nie wspólnego nie mające ze sprawą mniejszości narodowych, jako zagadnieniem powszechnem. Była to ofenzywa na Śląsk polski i Pomorze. Zdradziło ją nietylko skojarzenie przez min. Stresemanna sprawy mniejszości z artykułem 19 paktu Ligi, czyli postawienie jej na płaszczyźnie możliwej rewizji granic, ustalonych w traktacie wersalskim, lecz również lament, podniesiony przez prasę niemiecką, roniąc łzy nad losem mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku, która wskutek niepowodzenia p. Stresemanna „wydana została ostatecznie na pastwę Polski“. Teza polska przeciw większemu jeszcze otwieraniu „puszki Pandory“, jaką łatwo stać się może problem mniejszości narodowych na terenie Ligi, odniosła całkowity sukces. W jej duchu Chamberlain i Briand poddali druzgocącej krytyce wywody przedstawiciela Niemiec. Decyzja Rady Ligi, polecająca delegatowi japońskiemu, p. Adaciemu przedłożenie sprawozdania w związku z wnioskami Stresemanna i Danduranda na następną sesję w czerwcu b. r., jest tylko rozszerzeniem identycznej propozycji, zawartej w przemówieniu min. Zaleskiego. Zbyteczne nadmieniam, iż cała ta sprawa, która rozpoczęła się dramatycznie w chwili, gdy zdenerwowany min. Stresemanna uderzył w stół na sesji lugańskiej, a zakończyła się jego ostatnią tyradą genewską, wzmocniła tylko stanowisko Polski na te-

cznie genewskim i ujawniła solidarność mocarstw zachodnich z naszą interpretacją roli Ligi w ochronie zagwarantowanych traktatami praw mniejszości narodowych. Wysłęte przez nas hasło łagodzenia a nie zadrażniania i wyolbrzymiania tarć narodowościowych, znalazło żywy oddźwięk wśród kierujących czynnikami Ligi. Nie wątpimy, więc iż ostateczna decyzja na sesji czerwcowej Rady zapadnie po linii wspólnego frontu Polski z mocarstwami zachodnimi i większością bezpośrednio zainteresowanych państw.

* * *

REWOLUCJA W MEKSYKU stała się zjawiskiem tak powszednim i niemal nieustającym, że przestała przykuwać do siebie uwagę świata. Ostatnia jednak rewolta, na której czele stanął były przyjaciel zamordowanego prezydenta Obregona — generał Jose Maria Aguirra, tem różni się od poprzednich rewolucyj i powstań, iż prócz momentu osobistej rywalizacji generałów meksykańskich o władzę, posiada ideowe podłoże polityczne. Rządy prezydentów Callesa, Obregona i Portes Gila nacechowane były skrajnym radykalizmem. Po odłączeniu kościoła od państwa nastąpiło prześladowanie kleru katolickiego w Meksyku; jednocześnie rządy lewicowe przeprowadzały przymusową parcelację wielkich latyfundiów potomków pierwszych conquistadorów hiszpańskich, jawnie faworyzując miejscową ludność indyjską. Jeśli w ustawodawstwie robotniczym nowy prezydent Portes Gil poczynił pewne ustępstwa na rzecz klasy posiadającej, to w sprawie podziału gruntu i ustosunkowania się do kościoła katolickiego w dalszym ciągu uprawiał rozpoczętą przez Callesa i Obregona politykę. Korzystając więc z szerzącego się niezadowolenia rządami radykalnymi, gen. Aguirra wraz z gubernatorem stanu Sonory wszczęli akcję powstańczą, żądając banicji Callesa, nowych wyborów prezydenta i wolności sumienia. O popularności hasel powstańczych świadczy fakt szybkiego rozszerzenia się rewolty, która w ciągu kilku dni objęła dziesięć stanów. Pomimo chwilowego powodzenia powstańców, przypuszczać należy, iż rząd, opierający się na liczebnie przeważających masach robotników i chłopów (przeważnie czerwonoskórych i metysów), opanuje sytuację. Taki jest bowiem los południowo-amerykańskich rewolucyj: szybko wybuchają i niemniej szybko zostają stłumione.

NIEDAWNE, ŻYWE, A JUŻ ZAPOMINANE PRAWDY

Dnia 6 sierpnia 1914 r. Komendant Józef Piłsudski z garścią strzelców przekroczył granicę zaborów... Widzę w tem miejscu uśmiechy czytelników, kiwających głowami dobroliwie... Wiemy, wiemy.

Ale jednak — Komendant Piłsudski przekroczył granicę zaborów — czy treści słowa tego wjrżeliście w duszę, czy do dna pojęliście potęgę dnia owego. Gdybyście pojęli, ileżby smutnych, a bolesnych doświadczeń oszczędzono Polsce, ileżby złudzeń stało się rzeczywistością!

6 sierpnia 1914 r. Komendant Piłsudski przekroczył granicę zaborów, przekroczył granicę bierności, granicę niewoli, poddaństwa, poniżenia, słabości. Dnia 6 sierpnia 1914 r. zwiastowana została Polsce nowa ewangelja dumy i siły ewangelja wojności. Postawiony został w pogotowie życia i śmierci obóz Komendanta w

bojach o Polskę, na różnych odcinkach tworzący nowy katechizm obywatelskich cnót. Cnoty zaś te wyrastały z tego wszystkiego, co niepodobne było do poddaństwa, do niewoli do poniżającego z najazdem w najsłabszej choćby dozie kompromisu. I dlatego obóz ten był i jest tak niepodobny do wszystkiego, do czego przywykli, tak jest, niestety przywykli Polacy w ciągu swego poddańczego żywota.

I kiedy wszystko to, co było podobne w Polsce do stosunków, metod pracy i myślenia z czasów zaborczych, doprowadzało Polskę do ruiny, pozbawiało ją dumy i siły, którą wywalczył dla Polski obóz Piłsudskiego, narastać musiała świadomość odrębności tego obozu jeszcze silniej i gruntowac wiara w twórczą siłę społeczeństwa, rozumiejącego konieczność wniesienia w życie publiczne Polski innych wartości, innych

cnót, niż te, które reprezentowały obozy w czasach zaboru powstałe. w czasach przedmajowych gruntowane.

Z tego wszystkiego nie zdają sobie sprawy panowie z opozycji sejmowej na prawicy i na lewicy, — zdaje sobie jednak dokładnie społeczeństwo — zdrowy instynkt narodu znalazł tajemnicę różnicy, wypowiadając ją żądaniem wzmocnienia w Polsce stanowiska rządu.

Prawdę tę należy z całą szczerością wypowiedzieć dziś, gdy z jednej strony typ ludzi w rodzaju p. Niedziałkowskiego usiłuje przyczepić się do historii obozu, związanego z dziejami związku walki czynnej, z drugiej zaś panowie w rodzaju Winiarskich i Komarnickich próbują lansować opowieść, jak to w r. 1920 narodowi demokraci, (bo o kimże Winiarski by mówił) z całym poświęceniem bronili bram Warszawy przed bolszewizmem

Albowiem idzie w Polsce o rzecz wielką — idzie o przyszłość Polski o jej ustrój siły czy słabości, życia twórczego, czy rozkładczej anarchji. Idzie o to, czy arterje organizmu polskiego będą ożywiane czystą krwią pracy i zdrowia, czy zaszczepionym chemicznie zarazkiem niemocy niewiary, beznadziejnego zgorzknienia. Idzie — powtarzamy — o przyszłość Polski!

I wy chcecie, panowie sejmowi ze skrzydeł opozycyjnych, byśmy w tej wielkiej i decydującej walce o jutro Polski pozostali biernymi widzami, wam, którzyście nicosć własną niemoc i niewiarę, a często i złą wolę wykazali w latach budowania państwa, Wam losy dalsze państwa w ręce wyłącznie oddając. Jakby nie było 6 sierpnia 1914 r. i maja 1926 r. Jakby się w duszy polskiej nie dokonały wielkie przemiany, w poszukiwaniu siły, gwarancji trwałości i pewności jutra

Raz po raz słyszymy z trybuny sejmowej prowokacyjne wprost mowy przysadzające zasięg zwycięstwa i walki wszystkim, jeno nie tym, którym ona w rzeczywistości się należy. To snuje p. Lieberman złotą opowieść o Liberji i pomnikowej chwale konwentu, to p. Niedziałkowski rapsod wspaniały tworzy o Związku Walki Czynnej to znów ktoś z endecji gwarzy o ofiarności „narodowej” w endeckim tego słowa znaczeniu w r. 1920, to wreszcie p. Dąbski aż czkawki dostaje z zapału w obronie praw ludu i demokracji

Jakby nie było 6 sierpnia 1914 r.

A wszak znana jest i historia p. Niedziałkowskiego i udział jego żaden w walkach niepodległościowych, i p. Liebermana karjera w sądzie wojskowym c. k. Komendy, i p. Dąbskiego pościgi z żandarmami austriackimi za peowiakami. I ci najgłośniej krzyczą o swojej o Polskę trosce. I znana jest ucieczka endeckich wielkości do Poznania w r. 1920 i opóźnianie transportów wojskowych i organizowanie obrony przez nich — w Poznaniu. I kiedy p. Niedziałkowski pragnie rozbijać jakąś legendę o tem, jakoby w r. 1918 można było nie zwoływać Sejmu to dosłuchać się można w tem proroczym słowie nie czego innego jak chęci wykazania, że rzeczywistość narzucała Naczelnikowi Państwa mus zwołania przedstawicielstwa narodowego. Ale p. Niedziałkowski zapomina, że Naczelnik Państwa w I-szem swoim orędziu w listopadzie 1918 r. zapowiedział już zwołanie Sejmu, choć mu nikt tego nie doradzał, a wie-

lu bardzo wielu, nawet wybitnych mężów z P. P. S. nie jednokrotnie, i wtedy i potem bolało nad tem, mówiąc otwarcie: trzeba było rządzić czas jakiś bez Sejmu.

Ale bo nikomu z opozycyjnych mówców sejmowowicowych nie chodzi o historyczną prawdę. Chodzi im o to, o co chodziło endencji w latach 1918 - 1926, o pomniejszenie historycznej roli i wielkości Piłsudskiego, o wmówienie w opinię polską, że wszystko, co się w Polsce stało dobrego, uczynione zostało nie inicjatywą, decyzją Marszałka Piłsudskiego, za wszystko zresztą odpowiedzialność na Jego zwałając barki, lecz że wszystko to stało się dzięki doskonałej, niezawodnej woli i rozumowi politycznych mężów sejmowych. Niedługo a będzie się opowiadać, że 6 sierpnia 1914 r. to wcale nie dzieło Piłsudskiego, bo przecież już o maju 1926 r. mówi się, że to dzieło mas ludowych z pod znaków Żuławskiego, Diamanda, Pragiera.

Nie mogąc obdrzeć Piłsudskiego ze wszystkiego, pozbawiać pragną opozycjoniści wszelkiej zasługi i znaczenia Jego obóz, nie chcąc widzieć w obozie tym Strzelców, Legjonistów, żołnierzy, nie chcąc widzieć że obóz ten żyje ideą 6 sierpnia, wcielając w życie nowy katechizm cnót obywatelskich.

Ale dlatego właśnie, że tak jest, dlatego, że zapomnieć się chce o duchu obozu Piłsudskiego, że zapoznać się chce przekreślenie bierności i poniżenia, słabości i niewoli — właśnie dlatego i tem silniej walczycy będziemy o prawdę wewnętrzną Polski; nie pozwolimy na rozdrapanie dobra powszechnego, jakim jest wielkość Piłsudskiego i jego czyny, pomiędzy zdawna chore niemocą i fałszem obozy nie pozwolimy rozparcelować Polski i jej wielkich wartości pomiędzy sięgających po nie oligarchów sejmowych!

Idea 6 sierpnia pozostała do dziś żywą, mimo iż od owego dnia przeżyliśmy już całe epoki. Pozostała żywą i, jak się okazuje, nie została jeszcze przez wszystkich zrozumianą. Pokutują stare grzechy, narowiy z uporem, godnym lepszej sprawy, p. ełęgnowane są cnoty niewiary i słabości, lęku i małości: Otoczone nawet specjalną pieczołowitością, aby zaś nowy katechizm życia dla Polski wytworzony w walkach o Polskę i tylko o polską rację stanu oparty nie zyskał większej siły atrakcyjnej, od pustego dźwięku programów, wedle obcej rzeczywistości i kłamstwa wewnętrznego ułożonych.

My, którzyśmy dzień 6 sierpnia 1914 przeżyli, którzyśmy byli jego aktorami nie tylko widzami, sprawozdawcami i krytykami, my Piłsudczycy wiemy, jak olbrzymią drogę przejść trzeba od starych programów do ewangelji Polski żywej. I zdajemy sobie sprawę, że ten stosunek do Państwa, jaki nas cechuje, zdobyty być musi moralną pracą nad sobą, walką z narowami i zwyczajami, dopremi może w czasie życia w narzucanych przez obcych warunkach, wykluczonymi jednak w dobie niepodległego istnienia.

Podczas gdy w walce z Piłsudskim i Jego obozem połączyła się woda z ogniem, opozycja lewicowa z prawicą, podczas gdy i jedni i drudzy zamazać pragną i zniszczyć czyn 6 sierpnia 1914 r. — czyn orężnego wówczas, ale i psychicznego w ciągu lat przepracowania nowych obywatela polskiego wartości, — my Piłsudczycy spoglądać będziemy na te próby z pobłażaniem, jak spoglądaliśmy na te próby w swej głupocie

i fałszu występy endencji w okresie 1918 - 20, wierząc w zdrowy instynkt społeczeństwa i w prawdę ewangelji, wykuta na tablicach historii. Jedno jednak należy uczynić zastrzeżenie. Gdy działanie i próby walki z Komendantem do sposobu interpretowania sobie rzeczywistości polskiej odnosić się będą, spotkają się z naszej strony z pogardliwym negligowaniem, gdy zechcą się przenieść w sferę przebudowy rzeczywistości i wedle własnej dowolnej interpretacji rzeczywistość tę ulepić spróbują, staniemy do nieubłaganej walki, albowiem po raz drugi narażać Polskę na śmieszność i poniżenie — nie wolno, — po to tylko, by się przekonywać o bankructwie mądrości, dobrej woli i zdolności szalbierstwa pospolitego teoretyków partyjnego szczęścia w Ojczyźnie.

NOWY GOSPODARZ BIAŁEGO DOMU

Po przeszło pięcioletnim urzędowaniu prezydent Calvin Coolidge, „cichy Cal” — jak go nazywano — uściśnął w ubiegły poniedziałek dłoń swojemu następcy i powrócił do ogniska domowego. Herbert C. Hoover złożył uroczystą przysięgę na wierność konstytucji Stanów Zjednoczonych, którą ślubował przestrzegać, ochraniać i bronić według swych najlepszych sił. A trzeba zaznaczyć, że konstytucja ta daje mu władzę, wobec której monarcha brytyjski jest tylko manekinem.

Coolidge nie należał do plejady wielkich prezydentów Stanów Zjednoczonych. Był ideałem przeciętności amerykańskiej, wzorem skromnych cnót obywatelskich, uczciwości, pracowitości, zdrowego „common sense'u” człowieka, którego raczej szczęśliwa konjunktura, niż zasługi i sława, podniosła do godności czolowego męża demokracji amerykańskiej. Nie był on tym mężem, o którym marzy opinia publiczna Stanów Zjednoczonych w chwilach zastanawiania się nad niebezpieczeństwami swego dobrobytu, którego ekscesy na tle zrujnowanego świata powojennego budzą obawy groźnych przesileń. Ale mężowie tacy nie zjawiają się na zawołanie, przytem zmęczenie powojenne i lęk przed wodzami o szerokim rozmachu i śmiałych hasłach, przechylają w prosperujących społeczeństwach szalę zaufania anonimowego wyborcy ku kandydatom, nie szukającym nowych, a idącym utworowanymi drogami.

Jakim jest Hoover, nowy pan na Białym Domu, i jak się przedstawia sytuacja, w której objął on swe wysokie rządy? Hoover odniósł walne zwycięstwo w wyborach, mimo, iż miał przeciw sobie rywala, cieszącego się olbrzymią popularnością. Ale ten rywal, Alfred Smith, ulubieniec mas, posiadający znakomite walory osobiste i świetną przeszłość, jako administrator stanu nowojorskiego, był katolikiem, przeciwnikiem prohibicji i zbyt radykalnym demokratą. Wystarczyło to, by odwrócił od siebie nawet znaczny odłam własnego obozu. Zwolennicy jego łudzili się nadzieją, że mimo wszystko, zwycięży, bo naród spragniony jest uśmiechu w Białym Domu i odrobiny fantazji, zrywającej z rutynizmem rządów Hardinga i Coolidge'a. Sta-

ło się jednak inaczej. Ogromna większość wyborców, zadowolona naogół z istniejącego stanu rzeczy, ulekkła się wszelkiego nowatorstwa.

Herbert Hoover jest osobistością zbyt znaną na szerokim świecie, by należało przypominać zasługi jego nie tylko dla kraju własnego, ale i dla całej cierpiącej po klęskach wojennych ludzkości. Wielki filantrop, kierownik amerykańskiej akcji ratunkowej na rzecz dotkniętych głodem obszarów Europy, pozyskał on dla Ameryki nieprzemijającą wdzięczność Polski. Nie jest to polityk w ścisłym znaczeniu tego słowa, a ekonomista, przez szereg lat dziełny minister handlu i przemysłu, jeden z tych „kapitanów przemysłu”, którzy swoją wiedzą, doświadczeniem i wolą nadają kierunek niebywałemu rozwojowi bogactw materialnych Stanów Zjednoczonych.

Hoover jest równie mało mówny, jak Coolidge, nie jest rycerzem słowa ani pióra. O jego ideach społecznych, które analizuje publicystyka amerykańska, wnosić można jedynie z niewielkiej broszury p. t. „Indywidualizm amerykański”, którą napisał przed laty. Myśli w niej zawarte rozwinął obecnie Hoover w szeregu artykułów, rozpowszechnionych po świecie przez jedną z amerykańskich agencji prasowych, ogłoszonych jednocześnie w różnych krajach.

Broszura ta jest apoteozą wybujałego indywidualizmu, jako podstawy postępu społecznego. Równe szanse rozwoju jednostek, właściwości ich charakteru i umysłu — oto co stanowi, według Hoovera, jedyny źródło postępu i istotę demokracji amerykańskiej. Inteligencja, świadoma wola, odwaga czynu, to, co jest „iskrą Bożą w duszy ludzkiej”, żyje nie w zbiorowości, a w indywidualum. Demokracja wyprowadza się z indywidualizmu i tylko, będąc na nim oparta, może prosperować. W dalszych swoich koncepcjach Hoover jest niejako przeciwstawieniem Wilsona i jego teorii o społeczeństwie i państwie. Na całym świecie — pisze on — zaburzenia funkcjonalne systemów rządzenia znamionują kryzys, dla którego niema analogii w przeszłości. Podczas wojny zaszła potrzeba przekroczenia granic, gdzie kończy się indywidualizm, aby zadość uczynić potrzebom chwili. Ale rząd amerykański nie mógł trwać na tej drodze i szczęśliwie z niej zawrócić.

W mowie swej, wypowiedzianej po zaprzysiężeniu, Hoover zajmuje stanowisko przeciw etatyzmowi, natomiast podkreśla konieczność kontroli przez państwo życia ekonomicznego i oświadcza się za popieraniem kooperatywu.

Naogół, w dziedzinie polityki wewnętrznej od rządów jego nie należy oczekiwać wielkich zmian. Hoover jest krańcowym realistą politycznym, a realizm, będąc w istocie swej zaprzeczeniem wszelkich szumnych haseł i niewzruszonych dogmatów, w okresach dobrobytu zawsze skłania się ku konserwatyzmowi. W przemówieniu swem wspominał on tylko o potrzebie reformy sądownictwa oraz ponownego zbadania sprawy prohibicji wobec wzrastającego w związku z nią braku poszanowania prawa.

Czy pod rządami Hoovera St. Zjednoczone zerwą ze swym izolacjonizmem i nawrócą do polityki wilsonowskiej, dążącej do kooperacji Ameryki z resztą świata? Chiny, Rosja, rosnące znaczenie wiel-

kich republik łacińskich Ameryki Południowej, sprawy Pacyfiku, długi europejskie, walka o surowce, rywalizacja o rynki zbytu — są to wszystko problemy, które rozsadzają doktrynę izolacjonizmu, podkopaną już przez ekspansję kapitału dolarowego. Wbrew woli leaderów, zarówno republikańskich, jak i demokratycznych, kapitał ten coraz bardziej wciąga Stany Zjednoczone w wir polityki światowej i zmusza je do wzięcia udziału w rozwiązywaniu zagadnień, dotyczących całej ludzkości.

Nie należy jednak przypuszczać, że pod tym względem rządy Hoovera zerwą z tradycjami jego dwóch poprzedników. Obawa „skoku w ciemność”, za jaki uważają politycy amerykańscy bliższe zetknięcie się z zawilami problemami Europy powojennej, jest zbyt wielka, by można było oczekiwać od nowego Prezydenta jakiegoś radykalnego zwrotu w tym kierunku. Pakt Kelloga to na razie maximum ustępstwa, jakie St. Zjednoczone uczyniły na rzecz współdziałania z resztą świata w rozbudowie pokoju.

Co się tyczy Sowietów, niema żadnych danych do przypuszczenia, iż St. Zjednoczone zmienia swe stanowisko i uznają je *de jure*, a o przystąpieniu do Ligi Narodów przestali mówić nawet dawni, gorący zwolennicy Wilsona.

Trudno również przewidzieć, jaki wpływ będą miały nowe rządy na rozwój stosunków anglo-amerykańskich, które w latach ostatnich doszły do stanu krytycznego naprężenia. A od tego właśnie, od orientacji rządu Hoovera wobec Anglii w dużej mierze zależy będzie i kierunek przyszłego oddziaływania Ameryki na ogólną sytuację międzynarodową.

Fl. S.

NA MARGINESIE DEBATY MNIEJSZOŚCIOWEJ W GENEWIE

I

Niezgrabnie sfalszowany dodatkowy układ belgijsko-francuski do konwencji 1920 roku uciszył na chwilę hałas podniesiony wokół sprawy obrony mniejszości, wszczęty po pamiętnym posiedzeniu 14 grudnia ubiegłego roku w Lugano. Dzięki fabrykatowi hollenderskiego dziennika Paryż i Berlin miały możliwość w ciągu ubiegłego tygodnia prowadzić w zupełnym spokoju deliberacje wokół najważniejszego zagadnienia polityki europejskiej doby obecnej — sprawy uregulowania długu odszkodowawczego Niemiec i związanej z tem przedterminowej ewakuacji Nadrenji. W przeddzień jednak zebrania się 54 sesji Rady Ligi Narodów, zagadnienie praw mniejszości i ich obrony wysuwa się znów na czoło spraw interesujących opinię publiczną w Europie. Od grudnia do marca szpalty dzienników przepełnione były rozważaniami, rzadko poważnymi, przeważnie demagogicznej natury, na temat nowego zupełnie pojęcia, bezwątpienia szlachetnego

wprowadzonego do umysłowości politycznej powojennej Europy.

Warto przeto przypomnieć sobie pokrótce, jak to się stało, że w tej Europie, w której przed wojną losem 100 milionów ludności, wprzęgniętych do różnych wozów państwowych, rasowo językowo i narodowościowo im obcych, których nędznym losem interesowali się jedynie uważani za półwarjatów idealisci i „przwajciele ludzkości”, nagle tak gorąco wszyscy się zajmują. Tem dziwniejsze, że około 80 milionów z powyższej liczby odnalazło po wojnie powszechnej swą odbudowaną i wolną ojczyznę i stopniało do jakichś 20 milionów, tak zwanych mniejszości narodowych, równouprawnionych całkowicie z obywatelami krajów, które zamieszkują, zabezpieczonych w swych prawach nie tylko konstytucjami tych krajów, które zamieszkują, lecz również jurydycznymi klauzulami nowego statutu politycznego Europy. Czemu więc są one przedmiotem tak żarliwej obrony przedstawicieli tego właśnie narodu, który w przedwojennym tak niedawnym jeszcze okresie czasu wykazał zdecydowanie eksterminacyjne dążności w stosunku do mniejszości narodowych, zamieszkałych na kresach tego państwa.

Słynna deklaracja wilsonowska — ów katechizm, który miał być źródłem światła dla autorów traktatu wersalskiego, stopniała szybko w ogniu zaciekłych walk interesów — gospodarczych i politycznych zwycięzców wielkiej wojny.

Podwalina nowego porządku politycznego Europy, pakt Ligi Narodów, wymaga ciągle jeszcze interpretacji i uzupełnień.

Stosunek zwycięzców do zwyciężonych, ustalony w traktacie wersalskim, nie daje rękojmi utrzymania trwałego pokoju. Prezydent Wilson, starając się uratować choć cokolwiek z idealistycznych przesłanek swojej koncepcji pokojowej, ze szczególną siłą nalegał na zachowanie i podkreślenie elementarnej, powszechnej zresztą już uznanej zasady swobody sumienia: — równouprawnienia obywateli różnych wyznań. Zasada ta aczkolwiek nie wszędzie konstytucyjnie ustalona, była jednak w dobie powojennej uznana przez wszystkie państwa europejskie. Nie mogło być również żadnej wątpliwości, że w państwach, które powstały po rozbiciu dawnego imperjum rosyjskiego, ustawy ograniczające w prawach obywateli innego niż prawosławne wyznania, nie będą utrzymane w mocy.

Naczelna zasada prawa narodów o stanowieniu o swym losie nie mogła być źródłem przypuszczeń, że przy nowej delimitacji granic państwowych znajdują się na obszarze państw większe ilości mniejszości narodowych. Wprawdzie zasada powyższa zawiera w sobie nieuniknioną konieczność pozostawienia obcych narodowo elementów w granicach każdego z państw europejskich, sprowadza jednak tę kategorię obywateli do minimum w pogranicznych mieszanych prowincjach. Od zaobserwowania tego nieuniknionego zjawiska do koncepcji obrony praw tego rodzaju kategorii ludności — krok już tylko jeden. Nic dziwnego przeto, że pod wpływem osób, reprezentujących różne religie, rasy i narodowości, rozwijających swą działalność w czasie konferencji pokojowej, narodził się wkrótce projekt ujęcia zasady obrony praw mniejszości religijnych, rasowych i językowych, w formę zobowiązań o charakterze międzynarodowym.

II

Urzeczywistnienie idei równouprawnienia ras i narodów, zamieszkujących glob ziemski w powszechnie obowiązującą deklarację lub zobowiązanie prawne, nie miało zgola widoków urzeczywistnienia wobec sprzeciwów w łonie przepotęnej wówczas Rady Najwyższej.

Dla uratowania honoru domu nie pozostawało więc nic innego jak narzucić tego rodzaju zobowiązania narodom, które na konferencji paryskiej nie mogły przeciwstawić z tych lub innych powodów dostatecznego sprzeciwu woli zwycięzców wielkiej wojny. Polska, która w pierwszej połowie r. 1919, pod wodzą Józefa Piłsudskiego w znojnym trudzie wytyczała mieczem swoje granice, starała się organizować życie wewnętrzne, wykazując niesłychany w dziejach entuzjazm i siłę woli zbiorowej, była naturalnie wskazanym obiektem, któremu narzucić zobowiązania tego rodzaju można było bez zbytecznego wysiłku.

Składało się na to wiele przyczyn, których niepodobna tutaj wszystkich wymienić ani zanalizować. Wskazywano na kruchość nowopowstałego Państwa Polskiego, na niebezpieczeństwo socjalne, grożące mu od wschodu, na przysłowiową niezdolność rządu się i niezgodę wewnętrzną. Rusofile i reprezentanci kapitałów zaangażowanych w dawnym państwie carów z ambasadorem rosyjskim Makłakowem na czele, podkreślali na każdym kroku, że Rosja po stłumieniu rewolucji bynajmniej nie zrezygnuje ze swych praw do Polski. Ukraińcy i litwini pragnęli jaknajdalej zakreślić koło granic swych państw, żydzi obawiali się, że władza w Polsce może ustalić się w rękach narodowej demokracji i zachować w mocy rosyjskie prawa i przepisy w stosunku do „inowierców”.

Kolaboracja rządu warszawskiego z delegacją polską na konferencję pokojową, była dosyć luźna, nie zawsze przeto ustalano linię postępowania delegacji.

Dnia 24 czerwca 1919 r., na cztery dni przed podpisaniem traktatu pokojowego mocarstw sprzymierzonych z Niemcami, przewodniczący konferencji pokojowej Clemenceau, przesłał na ręce przewodniczącego delegacji polskiej Ignacego Paderewskiego gotowy projekt, t. zw. traktatu mniejszościowego.

W obszernem piśmie dołączonem do tej przesyłki, Clemenceau wskazywał na polityczne uzasadnienia, które powodowały Radę Najwyższą, kiedy ta zdecydowała się narzucić Polsce obowiązek podpisania traktatu.

Przewodniczący konferencji pokojowej powołał się na oświadczenia pełnomocników francuskiego, angielskiego, niemieckiego i włoskiego, złożone podczas kongresu berlińskiego przy okazji uznania niezależności Serbji, Rumunji i Montenegro.

W deklaracjach tych była mowa o konieczności uznania przez nowopowstałe państwa zasady równości wyznań wobec prawa. W piśmie swem Clemenceau niedwuznacznie i parokrotnie daje do zrozumienia, że wskrzeszenie państwa polskiego zawdzięczać należy woli zwycięzców wielkiej wojny. Zaznacza przytem, że od siły tych państw zależeć będzie możność utrzymania terytorjów przyznanych Polsce. Wychwala przytem zalety nowego porządku rzeczy, ustalonego

przez traktat podkreślając, że oddanie opieki nad mniejszościami religijnymi i językowymi Radzie Ligi Narodów wyklucza możliwość jakiegokolwiek interwencji politycznej w tych sprawach ze strony państw współsygnatarjuszy traktatu pokojowego.

W końcu wyraża nadzieje, że mniejszości zamieszkujące Polskę pod wpływem zrozumienia ważności przyznanych im gwarancji, tem łatwiej pogodzą się ze swoim nowym losem, dzięki czemu usunięte zostanie źródło wewnętrznych zadrażeń.

Kiedy mowa o traktacie mniejszościowym niepodobna zapomnieć, choć ma to tylko luźny związek z omawianą przez nas kwestją, że traktat ten przyznał żandarmom, czynownikom — hauptmanom, lejtenantom i innym gnębić!om Polski, zamieszkałym lub urodzonym w granicach wkrzeszonej Rzeczypospolitej prawo do obywatelstwa polskiego. A kiedy mówi się o wymuszeniu na nas podpisu na traktacie mniejszościowym, co miało być jakgdyby ceną za dopuszczenie nas do podpisania ogólnego traktatu pokojowego z Niemcami w Wersalu, to należy mieć na uwadze co traktat ten nam dawał.

Granic wschodnich w obawie przed ewentualnymi przyszłymi rewindykacjami Rosji — traktat ten nam nie wykreślał. Z tej strony byliśmy wówczas w wojnie z rewolucją rosyjską. Tak samo niezdecydowane są postanowienia dotyczące pozostałych granic Polski, które miały być ustalone później i stopniowo.

Kwestjonowano również w Paryżu prawa nasze do granicy z Rumunją, ustalonej w marcu 1919 r. po uwolnieniu Małopolski wschodniej od rozbitków ukraińskich z pod znaku niemiecko-austriackiego. Nie załatwiono również sporu terytorjalnego z Czechosłowacją, trwającego od haniebnej bratobójczej walki, na szczęście krótkotrwałej z lutego 1919 roku. Od strony Niemiec sankcjonowano tylko stan posiadania, datujący z grudnia 1918 r.

Conajmniej więc przesadnemi były pretensje Rady Najwyższej w czerwcu 1920 r. do tytułu budowniczych Polski.

III

Dnia 28 czerwca 1919 roku podpisany został przez pełnomocników Polski układ pomiędzy St. Zjed. Am. Pół., Imperjum Brytyjskiem, Francją, Włochami i Japonją a Polską.

Traktat ten, oddając w ręce rady Związku Narodów opiekę nad mniejszościami rasowymi, wyznaniowymi i językowymi, nie ustanawia jednak ani procedury w tych sprawach, ani sankcyj. W zamian traktat ten przyznaje każdemu członkowi Rady prawo przedłożenia Radzie poszczególnych konfliktów. Prawo to nie przysługuje żadnemu innemu członkowi Związku, nie zasiadającemu przy stole Rady. Pozostawia zatem Radzie zastosowanie procedury i środków dla załatwienia konfliktu jakie uzna za stosowne.

W następstwie rada nie uznała za potrzebne ustalenie ścisłych norm postępowania w sprawach mniejszościowych, znajdujących się na porządku dziennym Rady, pozostawiając sobie tutaj wielką swobodę, ustaliła jednak drogą licznych rezolucyj, powziętych

w swem gronie i przez zgromadzenie dość sztywną procedurę w tych sprawach do chwili wniesienia ich na Radę.

W dotychczasowej praktyce Rada starała się zawsze być pojednawczą.

W sprawach poddanych rozpatrzeniu Rady z tytułu zobowiązań, zawartych w konwencji górnośląskiej, procedura jest dokładnie określona w samej konwencji.

Wszystko co mówimy o losach skarg i petycji, napływających do Sekretarza Generalnego Związku Narodów, dotyczy nie tylko Polski, lecz i innych krajów.

Podobne do Polski zobowiązania powzięły, aczkolwiek znacznie później i inne państwa: Jugosławia traktatem specjalnym z 10 września 1919 r. Czechosłowacja podobnym traktatem tejże daty, Rumunja traktatem 15 grudnia tegoż roku, Grecja w sierpniu 1920 r., Austria, Bułgaria, Węgry i Turcja powzięły podobne zobowiązania przez podpisanie traktatów pokojowych, zawierających odpowiednie stypulacje. Wreszcie Albania, Estonia, Finlandja, Łotwa i Litwa w różnym czasie od 1920 do 1923 r. złożyły odnośne deklaracje co do zgody na objęcie opieki nad mniejszościami zamieszkującymi te kraje przez Radę Ligi.

Wyżej wymienione państwa choć nie należą do wyjątków co do konstrukcji rasowej, wyznaniowej i językowej znajdują się jednak, jak widzimy, w wyjątkowej sytuacji wobec przyjętej wraz z wprowadzeniem w życie Ligi Narodów — zasady równości wszystkich państw, należących do Ligi, wyjątkowa ta sytuacja wymagała uzasadnienia. Zarówno ze strony autorów traktatów jak i Zgromadzenia Ligi podkreślano, że miano na celu wprowadzenie uspokojenia do umysłów mniejszości w wyżej wymienionych państwach dla umożliwienia tam szybszej asymilacji tej kategorii ludności z pozostałymi obywatelami. Wyraźne uprzywilejowanie państw, nie zobowiązanych traktatami do zdawania relacji przed instancją międzynarodową ze swych spraw domowych, wymagało wyjaśnień. Toteż wielokrotnie podkreślano z tej strony, że wszyscy członkowie Ligi obowiązują się moralnie do udzielenia swym mniejszościom tych samych praw jakie przysługują innym obywatelom.

Tego rodzaju zobowiązania moralne powzięły Niemcy jeszcze w czasie trwania pertraktacji o pokój w Paryżu, kiedy to delegaci Rumunii walczyli o generalizację tego rodzaju zobowiązań, jednak wobec przeważających sił przeciwnika zaniechać jej musieli, uciekając się do jednego środka jaki im pozostawał — odmówienia podpisu pod traktatem mniejszościowym. Walka jednak o generalizację tych zobowiązań bynajmniej nie ustawała i podjęta została na nowo z większą jeszcze siłą już w czasie obrad pierwszych zgromadzeń Ligi Narodów. Oczywiście bez żadnego skutku.

Jednakże trzecie zgromadzenie przyparte do muru przyjęło następującą rezolucję:

„Zgromadzenie wyraża nadzieję, że państwa, które nie są związane w stosunku do Ligi żadnymi zobowiązaniami legalnymi co do mniejszości, będą jednak stosowały w stosunku do mniejszości rasowych, religijnych i językowych ten sam stopień sprawiedliwości i tolerancji jaki wykazany jest przez traktaty”.

IV

Po upływie paru lat praktyki procedura w sprawach mniejszościowych ustaliła się mniej więcej następująco:

Petycje napływające do Sekretarza Generalnego wprost od osób poszkodowanych czy też organizacji mniejszościowych, czy to od organizacji międzynarodowych wprost czy też za pośrednictwem zainteresowanego rządu przekazywane bywają przez dyrektora sekcji mniejszościowej sekretarjatu urzędującemu przewodniczącemu rady. Petycje te jednak muszą odpowiadać trzem podstawowym warunkom: wskazywać na przekroczenie zobowiązań międzynarodowych, dotyczących się praw mniejszości, pochodzić od osób nie anonimowych, i nie mogą one zawierać wyrazów lub zwrotów ubliżających państwu ani też żądanie zerwania więzów politycznych z państwem, do którego skarżący należą.

Petycje te przekazywane są przewodniczącemu rady dla informacji. Przewodniczący powołuje „komitet trzech” dla rozpatrzenia każdej poszczególnej petycji. Nie może wchodzić w skład „komitetu trzech” przedstawiciel państwa oskarżonego w petycji, ani przedstawiciel państwa, którego większość narodowa jest bliska skarżącym, ani państwa graniczącego. Sekcja mniejszościowa udziela wszelkiej pomocy komitetowi trzech w zorientowaniu się w aktach. Zbiera informacje, a przy pomocy sekcji jurydycznej pomaga zapoznać się ze stroną prawną zagadnienia.

Posiedzenia „komitetu trzech” są tajne, żadne protokoły z tych posiedzeń nie są publikowane ani prowadzone. W praktyce „komitet trzech” liczyć się winien z wieloma czynnikami, zanim poweźmie decyzję przedstawienia skargi do rozpatrzenia Radzie lub ją wogóle uchyli. Według raportu przedstawionego VI-mu Zgromadzeniu Związku o działalności „komitetów trzech”, komitet bierze pod uwagę przy badaniu skarg mniej lub bardziej pojednawczy stosunek państwa do skarżącej mniejszości, jak również stanowisko tej mniejszości mniej lub bardziej lojalne do państwa. Rozważa również czy poruszona sprawa ma znaczenie czysto lokalne czy też ogólne. Członkowie komitetu mają prawo skomunikować się z zainteresowanym rządem celem usunięcia powstałych nieporozumień, zmiany jego stanowiska lub wysłuchania jego uwag co do sprawy.

W praktyce w dużym stopniu pomocną „komitetowi trzech” jest sekcja mniejszościowa, która pomaga w mediacji. Wreszcie w zależności od wyników tej wstępnej pracy „komitet trzech” lub jeden z jego członków może przedłożyć skargę wraz z zebraną dokumentacją, Radzie do rozpatrzenia. Cały materiał zostaje wówczas opublikowany. W ciągu swej działalności „komitety trzech” zbadały ogromną ilość skarg mniejszości, z których tylko nieznaczna część weszła pod obrady Rady.

V

Czy główny cel międzynarodowej opieki nad prawami mniejszości został osiągnięty, przez wprowadzenie w życie traktatów i praktykę Rady? Oto pytanie, które czas postawić. Z Genewy trudno zdać sobie z te-

go sprawę. Trzeba by stan rzeczy zbadać w poszczególnych krajach w tej sprawie zainteresowanych.

Gorączkowa polemika ostatnich paru miesięcy pozornie tylko odnosi się do zagadnienia obrony praw mniejszości — wogóle. Dla nikogo nie jest sekretem, że wszczęta ona została jedynie celem wywołania wielkiej wrzawy wokół położenia Niemców w Polsce. Nie trudno również dociec dokąd krzyk ten zmierza i gdzie jest jego źródło — chodzi tu o wykazanie że granice wschodnie Niemiec są wykreślone nieprawidłowo, niesprawiedliwie w stosunku do Niemiec, że wymagają przeto rewizji.

Dla prowadzenia tej na szeroką skalę zakreślonej, świetnie zorganizowanej, bogato wyposażonej propagandy niemieckiej za rewizję granic wschodnich Rzeszy, potrzeba wciąż nowych skarg ludności niemieckiej polskiego G. Śląska. Mniejsza o to jakiego rodzaju są te skargi i jak dalece są one umotywowane czy też wogóle bezpodstawne, chodzi tu bowiem przecież jedynie o sam fakt odwoływania się ludności niemieckiej do wysokiej instancji międzynarodowej w Genewie. A przede wszystkim o publikację tych skarg przez Sekretariat generalny, co daje już asumpt do rozpętania demagogicznej propagandy z Genewy na Niemcy, a z Berlina na świat cały. Calomniez, calomniez il en restera toujours quelque chose — oto praktyczna zasada którą powodują się rewanżyci i nacjonalisci niemieccy.

Oni to pomimo nacisku rodzącej się i krzepnącej republikańskiej demokracji niemieckiej, zachowali sobie całkowitą swobodę działania w zakresie spraw polsko-niemieckich. Są to te same elementy, które z całym uporem i podziwu godną zręcznością przeciwdziałają urzeczywistnieniu porozumienia gospodarczego Polski z Niemcami. Pozostając prawie bez wpływu na politykę wewnętrzną Niemiec, przeważnie w niezgodzie z linią polityczną Stresemanna, nacjonalistyczne wpływy niemieckie zdołały ogarnąć umysłowość niemiecką wszelkich sfer i odcieni w odniesieniu do stosunków z Polską.

Niefortunne stypulacje niemiecko-polskiej konwencji, odnoszącej się do spraw Górnego Śląska, podpisanej w Genewie 19 marca 1922 roku, a zwłaszcza artykuł 147 tej konwencji, umożliwiający w najbliższych sprawach odwoływanie się wprost do Rady Związku Narodów są źródłem niezliczonych procesów, wytaczanych w Genewie przez organizacje, roszczące sobie monopol do opieki nad Niemcami w Polsce (mające w gruncie rzeczy inne zadania), a zachęcane do tego moralnie i finansowo przez ośrodki nacjonalistyczne niemieckie, rozporządzające poważnymi sumami, przewidzianymi w budżecie państwa niemieckiego na tak zwaną obronę niemieckości. Gdyby nie wspomniani i następne artykuły konwencji górnośląskiej, ogromna większość jeżeli nie wszystkie skargi mniejszości niemieckiej dla ich absurdalności oczywiście w szybkim tempie szłyby do kosza, nie ujrzały nigdy światła dziennego, ani wątpliwego zaszczytu interpretacji na łamach dzienników całego świata.

VI.

Szlachetna w założeniu idea obrony wolności, wyznania i języka, której nikt bardziej niż Polacy, na-

uczeni wiekowym doświadczeniem, nie potrafił ocenić, stała się w ten sposób wysoce niebezpiecznym narzędziem w rękach burzycieli ładu publicznego i harmonijnego współżycia obywateli jednego państwa różnych wyznań i języków. Prowadzi zatem bezpośrednio w myśl intencji zdegenerowanych manjaków do konfliktów międzynarodowych, których okropności wszyscy jeszcze świeżo mamy w pamięci. Poczucie konieczności zapobieżenia złemu żywe jest u wszystkich uczciwych polityków. To też dobrze zasłużył się p. August Zaleski nie tylko Polsce, ale przede wszystkim idei utrzymania pokoju, gdy podczas grudniowej sesji Rady w Lugano odważnie i bez ogródek wskazał za niebezpieczeństwa, wypływające z nadużywania postanowień i zobowiązań prawnych, zmierzających ku obronie praw mniejszości.

Z dokumentami w ręku wskazał on z wysokiej trybuny, że cała konstrukcja obrony mniejszości i jej cel ostateczny pogodzenia obywateli różnych wyznań i języków zamieszkałych pod jednym dachem państwowym, została przez szantażystów politycznych spaczona i że dalsze trwanie tego stanu rzeczy równa się kopaniu rowów pomiędzy współobywatelami, sięjąc niezgodę i nienawiść. Dla wszystkich otwartymi oczyma patrzących na rzeczywistość dzisiejszą, rowy te zamieniają się w wizję okopów strzeleckich. Stąd publicznie roztrząsania zagadnienia praw i obrony mniejszości nabrały tak gorączkowego charakteru z obu stron moralnej barjery: ludzi pragnących pokoju i burzycieli tegoż.

Nie trzeba się łudzić, że 54-a sesja Rady Związku Narodów przyniesie rozwiązanie tego zaognionego problemu, lub przynajmniej nada mu właściwy kierunek. Projekt kanadyjskiego członka Rady, Danduranda, odnośnie zmiany procedury, nie dotyczy w gruncie rzeczy wcale najważniejszych spraw, wytaczanych przed Radę — mniejszości górnośląskich.

Projekt sam jest kompilacją procedury stosowanej w sprawach mniejszościowych, wszczętych z tytułu ogólnych traktatów z procedurą przewidzianą dla spraw górnośląskich. Niema ten projekt żadnych widoków realizacji i nie wywoła nawet poważniejszej debaty w czasie trwania sesji.

Punkt porządku dziennego wniesiony na żądanie Stresemanna o gwarancjach Związku Narodów, odnośnie stypulacji traktatowych, zawierających uznanie praw mniejszości mogłoby dać okazję do długiej i poważnej debaty natury raczej jurydycznej, aniżeli politycznej, która musiałaby przetrwać czerwcową sesję Rady aż do Zgromadzenia dorocznego.

Niestety i to nie ulega żadnej wątpliwości, byłaby ta debata wyzyskana dla celów pobocznych. O to prawdopodobnie chodzi Niemcom, gdyż dałoby to punkt wyjścia do intensywnej propagandy przeciw Polsce w związku z wrześniowymi wyborami do Rady, do której Polska zgłosi swoją kandydaturę, na mocy przywileju ponownej obieralności otrzymanego ogromną większością głosów VII-go Zgromadzenia Związku w roku 1926.

Jest przeto rzeczą nad wyraz wątpliwą, by obrady genewskie wnieść mogły jakkolwiek poprawę do stanu rzeczy na Górnym Śląsku.

Usunięcie zła, wypływającego w poważnej mierze z fatalnej konwencji z 22 roku, dokonane być mo-

że raczej przez szczęśliwie pomyślaną politykę i zreżymowaną wykonywaną praktykę wewnętrzną na G. Śląsku. I to tylko przy zaistnieniu kardynalnego warunku, najzupełniej od nas niezależnego: ogólnego politycznego odprężenia stosunków polsko-niemieckich. Niestety trudno jest się spodziewać z tamtej strony dobrej woli w kierunku osiągnięcia takiego porozumienia.

Tak więc do radykalnej dezynfekcji górnośląskiego owrzodzenia przystąpić można będzie dopiero w roku Pańskim 1937, kiedy to postanowienia konwencji genewskiej, dotyczącej się mniejszości — wygasną.

W. O.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

TRZEBA POMÓC JASTRZĘBOWSKIEMU

Sprawa budżetu sztuki poruszona przez nas w jednym z ostatnich numerów Dodatku Literackiego Głosu Prawdy poruszyła wszystkie artystyczne koła stolicy i rozchodzi się szerokim echem po całej Polsce.

Artyści, którzy zeszłego roku na początku lata odbyli cały szereg poważnych zebrań, na zebraniach tych ustalili kapitalne dezyderaty związane z dobrem sztuki ojczystej, poczem przedstawili uchwały swe miarodajnym czynnikom (przedstawicielowi p. Prezydenta Rzeczypospolitej, przedstawicielowi M. W. R. i O. P., kustoszowi pięciomilionowego funduszu kultury narodowej), zbierają się obecnie jeszcze raz, by mimo absolutną obojętność najmiarodajniejszego w tej kwestji kustosa pięciomilionowego funduszu, sprawy swe przedstawić komu należy.

To znaczy komu? Już nie temu chyba w czyje ręce złożony został fundusz. P. Michalski pominął przeciw dobrotliwemu milczeniu wszystkie syntetyczne kwestje, wszystkie istotnie zasadnicze plany w dziedzinach dotyczących artystów, tak literatów, jak plastyków, jak też i muzyków. Wyznaczony jako kustosz w tym celu właśnie, aby funduszu nie roztrwoniono na dary i datki dla wszelakich proszących, potrzebujących, poszedł właśnie po linii najmniejszego oporu rozdawnictwa i wspierania i doraźnego łatania.

Wobec powyższego artyści polscy mają jedyną wyraźną drogę i instancję: Pana ministra W. R. i O. P. Zastępuje go w dziale sztuki narodowej znakomity malarz i zasłużony obywatel, dyrektor departamentu sztuki Wojciech Jastrzębowski. Jeżeli od czasu objęcia przez Jastrzębowskiego stanowiska dyrektora departamentu artyści wszystkich fachów czekali cierpliwie i „siedzieli cicho”, to dlatego, iż nazwisko Wojciecha Jastrzębowskiego było dla nich rękojmnią, że wszystko, co tylko można zrobić w tak opuszczonej przez miarodajne czynniki dziedzinie sztuki, — traktowanej u nas znacznie obojętniej, niż chów koni, — będzie zrobione.

Artykuł znakomitego malarza Władysława Skoczylasa w ostatnim Dodatku Literackim Głosu Prawdy (Konieczność zreorganizowania opieki Państwa nad sztuką, Nr. 287) świadczy pośrednio o tem, że dy-

rektor departamentu nie ma dostatecznego aparatu do skutecznego przeprowadzenia swych zadań.

Z omówienia budżetu sztuki wiemy, że Jastrzębowskiemu udało się budżet zwiększyć i to, czy owo (nagroda muzyczna chociażby!) wyjednać. Są to, niestety zdobycze tak nikłe w stosunku do całokształtu rosnących potrzeb, iż zaiste nie odpowiadają swym zakresem powadze nazwiska Jastrzębowskiego, oraz nadziei z nazwiskiem tym związanej.

Nie możemy podejrzewać dzisiejszego dyrektora departamentu sztuki, — my koledzy z zawodu artystycznego i dawni koledzy legionowej broni, — o opieśzałość, czy złą wolę. Musimy zatem przypuszczać, iż sprawy, których broni, albo nie zostały jeszcze uwzględnione, albo raz jeszcze, jak tyle już razy odłożono je do jakichś lepszych czasów.

W jednym i drugim wypadku trzeba zatem pomóc Jastrzębowskiemu. Jeszcze raz głośno powtórzyć o co nam chodzi. Jeszcze raz sprawy nasze przypomnieć ogółowi oraz miarodajnym czynnikom.

Sprawy te w zakresie literatury znajdują się więc po dawnemu w najbardziej opłakanym stanie. Kilka konspiracyjnych jedynie do demoralizacji przyczyniających się, dowolnie rozdawanych stypendjów literackich przez p. Michalskiego, kustosa funduszu kultury — nic w tych sprawach nie zmieniło. Produkcja t. zw. beletrystycznej książki polskiej staje się coraz bardziej niemożliwą. Mogę z całą stanowczością udowodnić, iż autor polski pracuje sumiennie nad tomem prozy nowelistycznej, czy powieściowej, nietylko, że pracuje za darmo, lecz nawet ze stratami. Najskromniej żyjący w Polsce powieściopisarz, kochający swój zawód i na niwie powieści pracujący, chcąc dzieło starannie wykończyć, musi się zadłużyć — inaczej z książką swą do artystycznego końca nigdy nie dojedzie.

Jeżeli tak mają się rzeczy przy pracy nad prozą, nie trudno sobie wyobrazić, jakie warunki produkcji panują w nowelistyce i w poezji.

Wielki poważny zawód pisarski uprawiać można u nas jedynie na marginesie, ukradkiem, poza innymi zarobkowymi zajęciami.

Gwoli zmian tych stosunków na lepsze cały szereg najwybitniejszych pisarzy polskich wystąpił z wnioskiem Akademii Polskiej. Pisało się o tem i gadało zaiste do znudzenia, a to z przyczyny, iż rzecz powyższa spotkała się z opozycją.

Wedle mniemania jednych projekt akademji był znakomity, drudzy występowali przeciw niemu. Z tej właśnie przyczyny cała sprawa — utonęła.

Czy jednak w innych dziedzinach życia wszystko, co dobre, słuszne i mądre nie spotyka się z opozycją? Wywołuje zawsze bezapelacyjny zachwyt i dopiero w kadzidłach tego zachwytu może wejść w praktykę życia? Wręcz przeciwnie: Wiadomo, że tak zwane rzeczy dobre należą do trudnych, wywołują niechęć nygusów, czy mędrków jałowych, opozycję nierobów i złość zawiedzionych ambicji.

Jakżeby to wyglądało w dziedzinie życia państwowego i społecznego, gdyby załatwić tam można było jedynie rzeczy podobające się wszystkim?

Nie podjęto więc sprawy Akademji, sprawa dzwacznej Izby przeleciała siłą własnego rozpędu i oto znaleźliśmy się tam, gdzie autor słów niniejszych przewidywał, że się znaleźć będziemy musieli.

Odezwa podpisana przez kilkadziesiąt najwybitniejszych nazwisk pisarzy polskich w sprawie Akademji pozostała bez żadnej odpowiedzi.

Co więcej: Słyszymy już tu i ówdzie, że trzeba będzie znaleźć inne wyjście: „Zakademizować” tych artystów polskich, którzy w zasłudze i w wieku wyszli już prawie za wiek możliwości twórczych, — inni zaś niech sobie radzą, jak mogą.

Tłumacząc to na stosunki, jakie panują w innych dziedzinach pracy państwowej np. w wojsku, czy na urzędach ministerjalnych wypada to tak: Niech generał, jak długo może być twórczym generałem, zdolnym do dowodzenia, traci czas na dawanie lekcji topografji, czy fechtunku, czy gimnastyki. Z chwilą, gdy osiągnie granicę wieku, w którym możność dowodzenia jest już raczej problematyczną, — damy mu wszystkie jaknajlepsze pobory, wygody i możność pracy.

Miarodajne czynniki powiększyły budżet sztuki; w tem czy tamtem drobniejszem posunięciu okazały sporą dozę zrozumienia sprawy. Artyści polscy powinni jeszcze raz powtórzyć i przypomnieć ludziom zajęтым sprawami państwa o co tu chodzi: Nie chodzi tu o jałmużnę, nie chodzi o datek dla tego, czy tamtego zasłużonego mistrza, — lecz o rzecz znacznie ważniejszą!

O wytyczenie ram i urzędzeń, w których sztuka polska mogłaby rozwijać się w sposób godny wielkiego narodu o wiekowej potężnej kulturze.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

CHŁOPSKA FURA

*Czesząc przed sobą wieczór snopami promieni,
Mkną auta elastycznie w porykiwań chrypcę.
Miasto ciska w mrok grona swych światel maleńkich,
Kłosa owsa, złotawo płonące w rozsypce.
Skrzypiąc, rypiąc na bruku jak żalodne skrzypce,
Przygrywając na osiach to grubiej, to cienie,
Przejeżdża chłopska fura. Niby w wiejskiej szybce —
W lśniących jej kół obręczach półksiężyc się mieni.
Jej szare, proste, twarde drabiny w tem mieście
Klekokczą mi wspomnieniem bocianich klekotów —
Tchną polem, zwisające z drabin, słomy wiechcie...
Myśl o wsi dymi we mnie jak ostra woń potu.*

ZWYCZAJNOŚĆ

*Zwyczajność gada świeżością żywą,
Zwyczajność chucha sosnowym wiewem.
Kapie ze słońca ciepła prawdziwość,
Chłop karmi rolę ziarnistym siewem.*

*Zwyczajność — barw się falami śmieje
Piękniej niż promień w oczach pryzmatu.
Poranki żyłem kwitnącem dnieżą,
Sinawym różem wstają nad światem.*

*Pachną w odejściu codzienne zorze,
A zmienność śpiewa tak jednostajnie,
Jak przytulone do wiatru zboże...
O, jak to dobrze jest żyć zwyczajnie!*

SZUM ŚWIATA

*Świećcie w wysokiej głębinie nieba — nad ludźmi, nad
drzewami —
Białem czuwaniem, gwiazdy malutkie, świećcie,
ogromne gwiazdy,
Wiej, życie proste, życie zawile, zmiennemi
powiewami —
Oto w tej chwili pojmuję wszystko, twój sen i uśmiech
każdy.*

*Płyń, zimo, śpiewaj śniegiem i mijaj, i wracaj znów,
by minąć,
Ródźcie się, życie, mrzycie ludzie, by nowe życia
kwitły!
Czarnoziem nocy przeplótł się w wieczność z dzionków
słoneczną gliną —
I szumi z nami ten świat zwyczajny, szumi ten świat
niezwykły.*

Stanisław Ciesielczuk.

NIEDOSTRZEŻONE CZIMBORASSO

O kurjerowej krytyce „Czarnych skrzydeł”

Z. Dębickiego.

Możliwość grubych nieporozumień między twórcą a krytykiem jest w Polsce nieskończenie większa, niż gdziekolwiek. Partje zrodziły się u nas wcześniej, niż gdzieindziej i w ich przeroście jest tajemnica naszej niedoli. Religja, ojczyzna, filozofja, wiedza, sztuka, konstytucja, regulamin obrad sejmowych i t. d. i t. d. wszystko to jest w taki czy inny sposób sprawą partji. Do której partji należy działacz, artysta, myśliciel? Zwrócono się niedawno do wybitnego uczonego polskiego z zapytaniem, co sądzi o systemie szkolnym Włoszki Montessori. Na pytanie odpowiedział pytaniem: Katoliczka, czy masonka? Napisał Boy swoje kapitalne „Dziwice konsystorskie”, został potępiony ad personam, chociaż chodziło przecie o wykazanie, że twierdzenia

jego są, czy nie są, prawdziwe. Ukazało się wielkie dzieło Kadena-Bandrowskiego „Czarne skrzydła” i zostało zaatakowane bardzo ostro od lewej strony i od prawej. Czem się je zwalcza? Gołosłowianstwem. Nieprawda, i dość!

Nie posądzam Dębickiego o złą wolę i niechęć względem „Czarnych skrzydeł”, ale rozumiem, że jego nastawienie psychologiczne i społeczne nie mogło się dopatrzeć prawdy w rzeczywistości, która zapoczątkowuje tradycję nowych i wolnych pokoleń. Nieporozumienie między twórcą a krytykiem, między „Czarnymi skrzydłami” a „Kurjerem Warszawskim” jest fatalne. Mam wrażenie, że Dębickiemu brakło elementarnej ochoty do uważnego przeczytania tej książki i dlatego w krytyce swojej mógł być wypisać takie słowa:

„Ani jednego tu światła, ani drgnienia woli ludzkiej w kierunku jakiegoś ideału, ani nawet zarysu tego ideału. I to właśnie jest złe w artystycznej i społecznej koncepcji „Czarnych skrzydeł”. Pesymistą był Żeromski. I on także widział świat w kolorach czarnych i współczuł głęboko każdej niedoli ludzkiej. Ale kiedy bolał nad stosunkami społecznymi, nad upośledzeniem warstw pracujących... miał zawsze przed oczyma konkretny ideał lepszego jutra i wiarą w ten ideał krzepił samego siebie i podnosił czytelników. „Ludzie bezdomni” to przecież nietylko piekło ulicy Krochmalnej, to także ofiarna praca dr. Judyma i Joasi. Kadenowi zabrakło tworzywa na takie postaci. Ani w „Lenorze”, ani w „Tadeuszu” niema bohaterów na miarę tamtych dwojga...”

Ani ideału, ani bohaterów! Czy niema naprawdę, czy też Dębicki nie mógł zauważyć Czimbórssa, stanąwszy zbyt blisko? Kaden pesymista. Jak Żeromski, który też widział świat w kolorach czarnych. Jeśli gdziekolwiek był jasny, zoroastryski optymizm, to chyba tutaj: w tych „Czarnych skrzydłach” jest go tyle, że starczy dla całych pokoleń. Tadeusz jest dzieckiem jednej z Nawłoci polskich. Świeci mu przecie przykład rodzonego ojca. Robić, co robią inni, porastać w pierze, mieć dom i izdebkę z pelargonją, posiadać konto bankowe i dosiężne przyjemności życia, to taki realny ideał! Cóż on robi? Wynajduje coś, majstruje, dąży do samodzielności, oddala się od Nawłoci i ostatecznie zrywa z nią bezwzględnie, spala mosty za sobą. W chwili decydującej gotów jest życie ofiarować za braci górników. Czyżby to nie zasługiwało na miano ideału i bohaterstwa?

A komunista Duś? Co wiedział o ideałach i idealikach mieszczańskich? Nic. Ignorowała go ojczyzna, ignorowała religia, nie spojrzało na niego oko żadnych bogobojnych prawowiernych i — naturalnie! — patriotycznych Kostryniów, gdy się edukował dla życia jako dziecko brudnej ulicy, wśród innych dzieci podobnych. Idzie przeciwko Polsce, której nie zna i która jego nie zna, ale jego serce jest sercem młodego Baryki, otwiera się ideałowi i idei piękna i sprawiedliwości. Gdyby Polska była wyprzedziła komunistów i odezwała się do niego głosem przemilczanych u nas i indeksowanych głosicieli sprawiedliwości i wolności ducha, Duś byłby się stał jednym z najwierniejszych wyznawców i obrońców idei polskiej, chociaż musiałby być tem większym wrogiem

kostryństwa. Duś-komunista typ antyspołeczny? Jego uspołeczenie znalazło wyraz w jego miłości dla braci. Chrystus powiedział: „Większej miłości nad tę żaden nie ma, jedno gdyby kto duszę swoją położył za przyjaciół swoje”. To powiedział Chrystus o Dusiu-komuniście. Kostryń jest patriota i prawowierny chrześcijanin w naszej nomenklaturze zakłamania. Duś jest ateista, materialista, wyrotowiec, ale ten „wyrutek” społeczeństwa staje na wyżynach niedostępnych nawet spojrzeń Kostryniów. Co tu mówi Kaden? Pokazuje wielkie serce bezdomnego nędzara, który poświęca życie za innych, i woła o ideę równie wielką jak serce. Ideał Dusia i jego czyn to bohaterstwo najwyższe. Przez Dębickiego niedostrzeżone.

Lenora? Dziecko ulicy chrześcijańskiej i narodowej, wdeptywane w błoto przez chrześcijan, oczywiście. Jedna z wielu tysięcy w taki sam sposób wyzyskiwanych robotnic. Dziewczyna bez twarzy. Ciało dla sztygara i strzałowego i dla kogoś tam jeszcze. Bez ideału? Cała jej istota jest ideałem. Przychodzi miłość, daje imię bezimiennej i czyni z niej osobę. Nie jest to ideał mówiony, rezonowany, dzienniczkowy, ale czyniony ideał krwi. Kobieta ludu polskiego, wdeptywana w błoto warunkami wytworzonymi przez obcy kapitał, ale czysta przez miłość i wierna. Jakie cudowne możliwości zastrzeżona w niej nędzna Kostyniówna, Bogu tylko wiadomo. Lenora to jedno z najczystszych serc, jedna z najpiękniejszych postaci literatury nietylko naszej.

A Knote? Szpiclucje i przestrzykuje, jest przedmiotem podaży społecznej i ma społeczny popyt. Jest zerem, niczem, pionkiem w tłumie bezimiennych. Jest marną kruszyną w sumie olbrzymiego plugastwa. Otoczenie jest jej predystynacją wiekuistego potępienia w hańbie i podłości. A jednak ta Knote, ta masująca Knocia, wyrasta ponad swoje otoczenie i ponad samą siebie, gdy w chwili wyjątkowej chwyta w swe grzeszne ręce symbol miłości i odkupienia. Jej słowa wyrzucone z piersi tłoczonych kłamstwem przez tyle lat, wydzierają się głosem, który jest manifestem i wyprzysiężeniem się zła wczorajszego. Knote prowadząca krzyżem Chrystusowym pomiatanych braci swoich, olbrzymieje i jaśnieje blaskiem Magdaleny, na którą patrzyły dobrotliwe oczy Jezusa. Nie wróci już do przestrzykiwań i do szpiclowania — to jasne. Niema większego zwycięstwa nad pokonanie samego siebie i niema większego bohaterstwa. Ta cudowna transfiguracja jest tak piękna, że niepodobna od niej oderwać oczu bez głębokiego wzruszenia. Zyskujemy przecie siostrę w osobie wynurzającej się z błota.

A Kania? I ten jest uciekinierem z Nawłoci. Dlaczego uciekł? Dlaczego nie siedział w cieple, nie porastał w pierze, nie dosługiwał się dostojęństw? Dlaczego wystawił twarz pod kufak brutalnego czlowieka? Dla interesu to zrobił, czy dla ideału? Tchórzstwo to, czy bohaterstwo? Nigdzie się tak na heretyka i odszczepieńca obficie nie pluje, jak u nas. Takim idealistom szlachetnym nigdzie nie podsuwa się pobudek tak nędznych, jak w Polsce. Ci, co żyją i tyją w Nawłociach zmyślają plugastwa i bezceństwa najgorsze, aby zabić moralnie każdego Kanię, każde wolne sumienie i czyste, niepodległe serce. O here-

tykach u nas wogóle mówić nie wypada, bo to jakoś nieładnie. Perspektywa moralno-dziejowa i religijna zna prawowierność pana Paska Chryzostoma i łapowników saskich, chwali ją sobie i ceni, ale herezje Ostrorogów, Modrzewskich, Rejów, Stasziców, Mickiewiczów, Szczepanowskich, Witkiewiczów — krępują i zawstydzają. Kania jest dla pewnego nastawienia optyczno-moralnego poza polem widzenia. Jego bohaterstwo jest poza-podfilipskie i poza-dułskie. Ale wielkie i piękne.

Kaden pesymista? Nie! Z tła „Czarnych skrzydeł” wydobył jasne promienie, blaski i barwy, które zostaną. U nas do życia podchodzono zawsze od strony formalnej, naprawiano Rzeczpospolitą, gdy podłał człowiek, rewidowano konstytucję i regulaminy sejmowe, gdy profiterstwo toczyło gangreną sumienia i serca, myślano o jakichś nadzwyczajnych ordynacjach wyborczych, gdy partyjniactwo tuczyło się pracą milionów. Nikt nie rozumiał u nas wielkiego słowa ewangelji: METANOEITE! Konkretne ideały wszystkich napraw uprawianych u nas od sześciu stuleci są niczem wobec człowieka. W nim, nie w konstytucjach i ordynacjach wyborczych są dzieje Polski. Nie w kodeksie jest sprawiedliwość, ale w sumieniu człowieka uspołecznionego, wychowanego dla miłości i poświęcenia. Anglja ma złą konstytucję i solidarne wielkie społeczeństwo. Nasze prawa są idealne, ale człowiek człowiekowi nie życzy wolności słowa, wolności sumienia, wolności bycia tem, czem się jest z najgłębszej istoty swojej. Dlatego ta przepaść kłamstwa, ta ochłaja obłudy, jakiej niema gdzieindziej.

I tu jest wielkość Kadena. Nazwał po imieniu rzeczy, o których się u nas nie mówi i podszedł do człowieka nie od strony ustawy, dekretu, przepisu, lecz od strony najczystszych ludzkich instynktów. W jego książce widzimy cud samoródtwa społecznego. Tadeusz, Duś, Lenora, Knote, Kania, to właśnie ci sprawiedliwi naszych Sodom i Gomor. Naprawy ordynacji wyborczych i regulaminów sejmowych nie dadzą nic, dopóki nie zjawi się człowiek szlachetny, odrodzony od wewnątrz, gotowy do poświęceń. Tego człowieka pokazał nam Kaden-Bandrowski w wielu postaciach. Nie nakaz policji i nie przepis urzędowej religji go stworzył, ale wielki ideał przekazywany z pokolenia na pokolenie krwią serca miłującego i mlekiem matki. Tutaj in tenebris lucet. Kostrynie gaszą światła, a w duszach krzywdzonego ludu polskiego rodzi się piękno poświęcenia i dobroci czystej, bezinteresownej. Nowe społeczeństwo, którego instynkt społeczny prześcignie przepisy i ustawy. To jest radosny obraz przyszłości, wizerunek człowieka zacnego, uciekającego z Sodomy saskich tradycji w czyste nie-skalane jutro.

Niestety, dla pewnych moralno-optycznych nastawień wielkość tego bohaterstwa jest niedostrzegalna. „Czy niema tam szkół, ochronek, przytułków, szpitali?” — pyta Dębicki. Pytanie brzmi nieproporcjonalnie. Ma się wrażenie, że do człowieka, któremu maszyna zmiażdżyła nogi, jakiś zacny filantrop biegnie z plasterkiem angielskim. Ależ są ochronki, szpitaliki, komiteciki ratunkowe, czytelnie Staszica! Gdzie tego niema? Dysproporcja nędzy społecznej, a tych właśnie szpitalików i ochroneczek, tudzież czyteln

Staszica, którego imię biorą wszystkie Kostrynie stale nadaremno, mówi wyraźnie o dalszym ciągu tej ślepoty, dla której Polska nierządem stała. Wielki pan nie chciał dać chłopu ziemi i wolał obcego władcę, bo myślał, że tak czy owak będzie żył z pracy chłopca. Przecież Kaden powiedział, co się robi przygodnie w czytelniach i w komitetach ratunkowych, gdzie panna Zuza ma pod ręką rewolwer, aby zastrzelić Lenorę. To amatorskie miłosierdzie próżnujących pań i panów staje się powoli przedmiotem wstydu każdego człowieka umiającego patrzeć dalej i głębiej. Dobroczytność w społeczeństwie zdrowem i pracowitem jest zawsze objawem niedomagania o charakterze zawstydzającym. Człowiek wolny duchowo nie korzysta z niej nigdy, ten zaś, co z niej korzysta, albo jest niewolnikiem, albo go na niewolnika wychowują.

Nie i nie! Książka Kadena nie jest ewangelją pesymizmu. Społeczeństwo nasze demoralizowała niewola, jeszcze bardziej demoralizowało je to, co do niewoli wiodło. Masy ludowe były i są jeszcze poza Polską, co stwierdził Artur Górski, dopraszając się w grubem nieporozumieniu dogmatu patryjotyzmu i nacjonalizmu od kosmopolitycznego kościoła. Ale w masach ludowych jest szlachectwo ducha, jest jakby forma, naczynie Grała, czekającego na wielką ideę sprawiedliwości i dobra. Baryka uciekł z Nawłoci, z jadalni Maciejunia i z sypialni gorącej wdowy; uciekają z Nawłoci Tadeusze i Kanie, wzrastają w nieśmiertelny ideał miłości i poświęcenia, a przedewszystkiem prawdy: Lenory, Dusie, Knote. Tadeusz zapowiada ojcu, że w sądzie powie całą prawdę i nie chce, żeby coś było urządzane. Już to jedno jest jasnym promieniem na tle naszego nałogowego zakłamywania się. A tu jeszcze śmierć Dusia, transfiguracja Knote, wybawienie Lenory przez miłość z nicości, nastawianie Chrystusowe policzków przez Kanię pod pięść bijącą...

Krytyk „Kurjera Warszawskiego” nie zauważył Czimborassa ideału i bohaterstwa polskiego ludu pracującego. Zauważyć nie chciał, czy nie umiał?

Paweł Hulka-Laskowski.

NA MARGINESIE

Z SALI ŚMIERCI, (wspomnienia obrońcy politycznego), przez Leona Berensona, wydane u Hoesicka. Wspomnienia te umieszczone na 54 stronnicach starczą za dzieło, a jako przyczynek do wspaniałej heroicznej walki o niepodległą Polskę winny znaleźć się w każdej bibliotece na biurku każdego męża stanu Polski dzisiejszej, w ręku każdego Polaka. Piękna, uroczysta w prostocie swej, olśniewająca w przedziwnej skromności rzewnego bezpośredniego patosu książka wspomnień. o przepięknych ludziach, o tragicznie - bohaterskim pokoleniu, z których wyszły w kilka lat później Legjony.

Najczystszy, rycerski hart bojowców ukazanych w tej książce przez autora i obrońcę zarazem, hart ludzi, którzy pierwsi od 1863 roku stoczyli znowu na ziemi polskiej pierwsze bitwy pod Rogowem, Mazowieckiem, Herbami, Bezdunami błyszczą i lśnią na stronicach tej małej książeczki najgodniejszymi słowami głębokiego wzruszenia i prostoty.

Książka ta stanowi nietylko przyczynek do dziejów pierwszego zbrojnego ruchu Polski rozpoczynającej w XX wieku walkę o swą niepodległość. „Z Sali Śmierci” jest też świadectwem szczytnej wielkości, jaką może osiągnąć tak gorzki, lecz zarazem tak wspaniały zawód obrońcy.

* * *

NA ZACHODZIE SPOKÓJ (Im Westen nichts neues), przez Ericha M. Remarque'a wydanie Propyläen-Verlag, Berlin, — jest opowieścią tworzona niejako z dnia na dzień podczas ciężkich walk Niemców na froncie zachodnim. Książka pisana z całą surowością prawdy. Autor separuje się, czy też jakgdyby go wyłączyły z zakresu wszelkich patriotycznych, wielkoniemieckich marzeń, lub pobudek — ciężkie przeżycia frontowe. Oddany im całkowicie, kreśli dzień po dniu z wielkim umiarem i talentem, — przeżycia walk zachodnich.

Można oczywiście stawiać tezę, że gdyby Niemcy wygrali wojnę inaczej może odczuwaliby i inaczej oddawali w swej sztuce ciężki wojenny los. Wiadomo przecież, że wielki rewolucjonista Ryszard Wagner, uczestnik barykad z roku 1848, — po zwycięstwie nad Francją w 1870 napisał swego straszliwego w pozie i pompie Kaisermarscha. Nie naszą jednak rzeczą wysnuwać z racji obrotu dziejów wnioski warunkowe co do kształtu sztuki. Książka Remarque'a, bezspornie świetna w stylu, w wycuciu psychologii człowieka, grozy i straszliwości wojennej jest w pierwszym rzędzie dziełem sztuki, dziełem pełnym miłości życia i człowieka.

* * *

WILCZYCA (czyli Zima boru), oto tytuł książki, którą zadebutowała u Hoesicka p. Teresa Sapieżyna. Debjut poprawny. Autorka zna dobrze życie lasu, oraz życie wiejskie. Odczuwa przyrodę, notuje wrażenia swe sumiennie i poprawnie, popychając naprzód zgromadzone pilnie obserwacje zapomocą historii o wilczycy wychowanej we dworze, a uciekającej później za głosem natury swej do lasu.

Ludzie traktowani tu są epizodycznie. Z epizodów tych jednak można wnosić, że właśnie owi ludzie (chłopi białoruscy, służba, gajowi, wreszcie państwo we dworze), mogliby być bez porównania bardziej żywi i zajmujący od „wymyślonej” wilczycy.

Sądzimy, że p. Sapieżyna zna tych ludzi i mogłaby o nich niejedno napisać. Sądzimy, że lepiej byłoby zdobyć się na odwagę poruszenia owych konfliktów pomiędzy tamtejszymi ludźmi, niż spychanie ich na margines opowiadania o wilczycy, która mimo najsumienniejsze zabiegi autorki pozostaje do końca opowiadania nader anemiczną.

* * *

LUIGI PIRANDELLO, jako nowelista (Pierwsza Noc, wyd. u Hoesicka, przełożyła Franciszka Szyfmanówna), jest autorem nierównym, mało rafinowanym, szukającym brutalnej, niejednokrotnie taniej nawet pointy. Czytając te nowele ma się wrażenie, że autor bierze rozmach w opowiadaniu, wchodzi w dany konflikt i nie wie potem jak z niego wybrnąć, ba, iż w zniecierpliwieniu zamiast rozplatać, rozrywa nici noweli-stycznej intrygi.

Tłomaczka mówi we wstępie do przekładu, iż Pirandello napisał podobnych nowel 366, po jednej na każdy dzień roku. Zaiste, lepiejby może było by zamieścić 366, napisał na rok dwanaście tylko, lecz do-brych, głęboko przemyślanych i gruntownie opracowanych artystycznie.

* * *

W MYŚL UCHWAŁ co do terminu rozdawania nagrody literackiej miasta Warszawy, magistrat wyznaczył do 15 marca termin zgłoszenia nazwisk sędziów delegowanych ze związków literackich, jako składu jury. Warszawski Związek Zaw. Literatów Polskich wybrał w tym roku Leona Pomirowskiego, Zrzeszenie Związków Wacława Sieroszewskiego, PEN-Klub Ferdynanda Goetla.

* * *

WARSZAWSKI ZWIĄZEK ZAW. LITERATÓW POLSKICH rozpoczął już wspólne prace w sprawie rozdziału wsparć i zapomóg dla wdów po zasłużonych pisarzach. Jak wiadomo Rada Miejska w Warszawie uchwaliła na ten cel 20.000 zł. i przekazała tę sumę do Związku Miast, z tem, iż i inne miasta przyczynią się ze swej strony do zwiększenia tego funduszu.

* * *

PEN-Klub w Warszawie rozpoczął już ostateczne prace do przyznania na drodze konkursu nagrody swej (1000 złotych) za najlepszy przekład z literatur obcych na język polski. Jury otrzymało kilkadziesiąt prac, drukowanych już przekładów do rozpatrzenia.

PEN-Klub przygotowuje się do przyjęcia w ostatnich dniach marca wielkiego poety niemieckiego, serdecznego przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego Däublera. Równocześnie pertraktuje z odnośnemi sferami w kwestji wymiany wizyt z jednym z pisarzy francuskich i rumuńskich.

jkb

BIBLIOGRAFJA PAŃSTWOWA I NARODOWA

Przed odzyskaniem niepodległości przedsięwzięcia bibliograficzne w Polsce polegały niemal wyłącznie na inicjatywie i wysiłkach jednostek. Brak organizacji pracy na tem polu, opóźnił znacznie powstanie polskiej bibliografii bieżącej. Księgarstwo niemieckie od schyłku XVI w. począwszy szczyliło się swemi „messkatalogami”. Ostatnie lata XVIII w. przyniosły tam należycie już postawioną periodyczną bibliografię księgarską. Tymczasem u nas, pierwsze nieśmiałe próby w tym kierunku podjął dopiero F. Bentkowski, ogłaszając w „Pamiętniku Warszawskim” wykazy rocznej produkcji wydawniczej, dostarczane przez księgarńnię Węckiego i Zawadzkiego. Jeżeli pominąć mniej lub więcej udane i trwałe przedsięwzięcia późniejsze, z „Bibliografią Polską” (1861 — 1865) F. A. Brockhaus'a w Lipsku oraz „Rocznikiem Lite-

rackim Warszawskim" (1871—1880) S. Czarneckiego na czele, za pierwszą właściwą periodyczną bibliografię bieżącą w Polsce uznać należy „Przewodnik bibliograficzny”. Nieocenione to czasopismo, założone w 1878 r. przez Władysława Wisłockiego, kustosa Biblioteki Jagiellońskiej, z przerwami i modyfikacjami, przetrwało do 1928 r. włącznie. Niebrakło co prawda, zwłaszcza w okresie przedwojennym, wydawnictw pokrewnych (n. p. „Książka”) ale „Przewodnik bibliograficzny” przodował długotrwałością, zasobowością materiału, oraz sumiennością opracowania.

Wszystkim dotychczasowym periodycznym bibliografiami bieżącym wspólna była jedna, zasadnicza cecha ujemna, wynikająca z samej ich istoty. Jako imprezy prywatne bądź jednostek, bądź poszczególnych firm wydawniczych, nie miały one możliwości ogarnięcia całości produkcji wydawniczej polskiej, nie mówiąc już o obcojęzycznej na ziemiach polskich. Rejestracji całkowitej państwowej produkcji wydawniczej, podjąć się może z powodzeniem jedynie instytucja otrzymująca i konserwująca egzemplarz obowiązkowy wszystkich druków ukazujących się w państwie Dłategoż zagranicą, zazwyczaj biblioteki narodowe wydań, lub też współpracują przy wydawaniu periodycznych bibliografii bieżących. U nas jak wiadomo, kwestię egzemplarza obowiązkowego, przez długi czas nieudostajniająca, uregulowało dopiero Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 6 maja 1927 r. o prawie prasowym, wraz z rozporządzeniami wykonawczymi z dn. 4 lipca 1927 r. i 9 marca 1928 r. W myśl rozporządzenia wykonawczego z dn. 10 maja 1927 r.: „Rejestrację druków prowadzi na podstawie egzemplarzy dostarczanych dla Biblioteki Narodowej w Warszawie, Min. W. R. i O. P.”, co niewątpliwie jest postanowieniem przejściowym, obowiązującym do czasu faktycznego uruchomienia Biblioteki Narodowej.

Realizując powyższe postanowienie „Wydział Bibliotek Państwowych” w Min. W. R. i O. P. przystąpił do rejestracji egzemplarzy obowiązkowych napływających dla Biblioteki Narodowej, oraz do ogłaszania wyników tej rejestracji. W roku bieżącym zaczął się ukazywać tygodniowy „Urzędowy Wykaz Druków wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej i druków polskich lub Polski dotyczących, wydanych zagranicą”. Ponadto wydano dwa tomy kwartalne za rok ubiegły.

Przeznaczenie „Urzędowego Wykazu Druków” jest trojaki: 1) ma służyć za podstawę i źródło wszelkich prac bibliograficznych 2) „pozycje jednostronnie drukowanych zeszytów „Wykazu” mogą być użyte w bibliotekach jako pozycje katalogowe” przyczyniając się do ujednostajnienia katalogów oraz do podniesienia ekonomii pracy w bibliotekach, wreszcie 3) „Wykaz” ma umożliwić bibliotekom kontrolę nad dostarczaniem im egzemplarza obowiązkowego.

Poszczególne zeszyty „Wykazu” zawierają oddzielnie alfabetyczne spisy: a) druków w języku polskim b) druków obcojęzycznych wydanych w Polsce, c) nut, oraz d) map

Do „Wykazu” dołączane będą co miesiąc: 1) spi-

sy nowopowstałych i zawieszonych wydawnictw periodycznych, 2) wykazy druków polskich lub Polski dotyczących, wydanych zagranicą; co kwartał, 3) zestawienia statystyczne; przy końcu każdego rocznika; 4) spis nowozałożonych i zlikwidowanych zakładów graficznych.

Za podstawę katalogowania przyjęto z pewnymi odchyleniami „Zasady katalogowania w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie”. Tytuły druków tłoczonych grażdanką, druków starocerkiewnych, hebrajskich i żydowskich.

„Urzędowy Wykaz Druków” jest owocem poważnej pracy przygotowawczej oraz wzorowej staranności i pieczołowitości. Ta staranność przebiega z każdego szczegółu, widoczna zarówno w sposobie opracowania jak i wydawania „Wykazu”. Toteż niewątpliwie spełni on swoje zadanie we wszystkich zamierzonych kierunkach. Najbardziej bezpośrednią, natychmiastową korzyść odniosą biblioteki. Ale równocześnie ze szczególnym naciskiem podkreślić należy walory wykazu jako podstawy i źródła przyszłych prac bibliograficznych. Nie mieliśmy dotychczas zupełnie podobnego inwentarza bieżącej państwowej produkcji wydawniczej, ani też tak obszernej i systematycznej rejestracji druków polskich oraz poloników obcych, nie mieliśmy dotąd bibliografii bieżącej, w którejby opis każdej pozycji był tak precyzyjny i dokładny, a polegając na autopsji, tak dalece posiadał wartość źródłową.

Przedsięwzięcie bibliograficzne o takiej doniosłości i rozpiętości jak rejestracja państwowej produkcji wydawniczej, wymaga próby doświadczenia. Śledząc dzieje podobnych wydawnictw zagranicznych można się przekonać, jak często ulegały one modyfikacjom i ulepszeniom płynącym z nauk doświadczenia oraz praktyki. Teoretycznie rzecz biorąc „Urzędowy Wykaz Druków” nasuwa kilka spostrzeżeń, które notuje się tutaj jako materiał dyskusyjny. Jak widzieliśmy „Wykaz” nie ogranicza się do podawania rejestracji państwowej produkcji wydawniczej, lecz zarazem przynosi planową bibliografię poloników obcych, o ile ukazały się w postaci druków nieperiodycznych. Dzięki temu momentowi wykaz rejestracyjny wkracza wyraźnie w dziedzinę bibliografii naukowej. Z tego więc powodu jakoteż ze względów praktycznych nie wydaje się rzeczą celową degradowanie go do zbioru „surowego materiału bibliograficznego”. Oczywiście, że wydawnictwo o podobnym typie nie może się wdawać w szczegółowe opracowanie bibliograficzne, z całym aparatem odsyłaczy, rozwiązań pseudonimów, hyptonimów, anonimów i t. p. Ale doroczne ujęcie w ład materiału bibliograficznego, rozproszonego w zeszytach tygodniowych, wydaje się nieodzownością, choćby w postaci bieżącej numeracji pozycji oraz sumarycznych skorowidzów rocznych.

Zbyt konsekwentne stosowanie zasady mechanicznej w metodzie kopiowania kart tytułowych nie zawsze wydaje pożądaną rezultaty. Wydaje się iż racjonalniej byłoby wprowadzić tutaj zasadę wartościowania i możliwego skracania opisów druków pod

względem państwowym i naukowym mniej ważnych, jakkolwiek odrazu przyznać należy, iż zasada ta kryje w sobie trudności i niebezpieczeństwa. Mimo trudności w praktycznym zastosowaniu, zasada wartościowania druków i stosowania do niej rozciągłości, kopij kart tytułowych, nie przestaje być postulatem słusznym i zasadniczym. Co do odezwo i druków ulotnych można być zwolennikiem rejestrowania ich, powątpiewając równocześnie o celowości ogłaszania wyników tej rejestracji drukiem.

Biorąc pod uwagę konstrukcję poszczególnych pozycji, względy przejrzystości zdają się wymagać drukowania opisu bibliograficznego (format, ilość stron, dodatki), w oddzielnej linii, drukiem drobniejszym. Również zmniejszenie interlinij, ścieśnienie odstępów, oraz obszerniejsze zastosowanie skrótów, przyczyniając się do większej ekonomii miejsca, nie zaszkodziłyby przejrzystości. Sam opis możnaby uzupełnić notowaniem bibliografij oraz indeksów zawartych w drukach, jakoteż zaznaczeniem czy dany druk ukazał się w okładce, czy też bez niej. „Urzędowy Wykaz Druków” nie podaje wysokości nakładów, co niewątpliwie nastąpiło nie bez racji, ale powodów tego pominięcia w przedmowie nie wyjaśniono.

Ostatnia wreszcie uwaga dotyczy sposobu udostępniania i rozprzestrzeniania „Wykazu”. Ze względu na jego doniosłość pod wielu i różnorodnymi względami, powinien on być dostępny wszelkiego rodzaju instytucjom, bibliotekom, oraz osobom prywatnym. Jednakże wydaje się celem urzędzenia amerykańskie, aby nawet instytucje i biblioteki opłacały otrzymywanie tego wydawnictwa. Tak dzieje się z „Library catalogue cards” opracowywanymi i rozprzestrzeganymi przez „Library of Congress”. Byłoby śmiesznością porównywać nasze stosunki pod względem bibliotekarskim, z amerykańskimi, zawsze jednak przez sprzedaż „Wykazu” pewna część kosztów wydawania uległaby zwrotowi.

Niniejsze uwagi, których charakter dyskusyjny został z góry dobitnie podkreślony, nie mają ani zamiaru ani powodu umniejszania w czemkolwiek doniosłości, jakoteż wartości wydawnictwa, będącego dobitnym zadokumentowaniem myśli, iż w ojczyźnie Karola Estreichera, oficjalne wydawnictwa bibliograficzne powinny być najwyższej próby. Skąpstwo w tej dziedzinie byłoby istotnie nie na miejscu.

Gdyby zrozumienie dla bibliografii było u nas większe, żaden poważniejszy działacz polityczny i społeczny, nie obywałby się bez przygodnej lektury owej rejestracji państwowej produkcji sądowniczej, przynoszącej równocześnie bibliografię poloników obcych. To, o czem częstokroć milczą organa opinii publicznej, co w wirze i zgiełku dnia powszedniego uchodzi uwadze, z dziwną przejrzystością i niemą wymową woła z tych suchych napozór kolumn druku.

Streszczając się stwierdzić można, iż w „Urzędowym Wykazie Druków” zyskaliśmy wydawnictwo dużego znaczenia, i na wysokim stojące poziomie, które rozwijając się i korzystając z doświadczeń, dobre usługi odda potrzebom państwowym oraz bibliografii polskiej.

Tadeusz Sterzyński.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

Wykopaliska w Pompei i Herkulanum.

Wykopaliska w Pompei i w Herkulanum prowadzone umiejętnie i metodycznie przez prof. Spinozola, obecnie zaś od paru już lat przez prof. Amedeo Majuri, dyrektora Muzeum Narodowego w Neapolu, wydają coraz to lepsze rezultaty.

W Pompei posuwają się dość znacznie prace na via dell'Abbondanza, gdzie wykopano niedawno piękny posąg Apollina na metr wysoki; znaleziono również liczne naczynia, wazy i kandelaber.

Znalezione przedmioty przewożono poprzednio do Neapolu, umieszczając je w tamtejszem przebożym, przepięknym Muzeum, od pewnego jednak czasu pozostawia się wykopane przedmioty na miejscu, przez co rekonstruuje się co nieco życie dawne, stwarzając niejako wizję starożytności!

Brak tu jedynie ludzi ówczesnych, którzyby zasiedli do uczt lub do dysputy! Zainicjowane przed rokiem przez rząd faszystowski wykopaliska w Herkulanum prowadzone są tym samym systemem prace posuwają się powoli, gdyż trzeba burzyć i zwać mnóstwo w ciągu wieków powstałych budowli i domów. Roboty pod kierunkiem prof. Majuri, głównego intendenta wykopalisk, wykonywane są metodycznie i z dużą uwagą, by nie uszkodzić żadnego z wydobywanych przedmiotów.

Instytut sztuki współczesnej w Wenecji.

Z inicjatywy generalnego sekretarza Wystaw weneckich „Biennale”, rzeźbiarza Antonio Maraini powstał w Wenecji „Instytut sztuki współczesnej”, mający na celu zbieranie materiałów, dokumentów, fotografij z odtychczasowych wystaw „Biennale” od pierwszej, która odbyła się w roku 1895, aż do ostatniej — na wiosnę roku ubiegłego.

Program utworzonego świeżo Instytutu obejmuje również gromadzenie materiałów, odnoszących się wogóle do Wystaw sztuki we Włoszech i to zarówno sztuki swojej jak obcej.

Instytut znalazł godne pomieszczenie w Pałacu Dozów.

„Córka Joria” d'Annunzia w Paryżu.

Piękny dramat d'Annunzia, „Córka Joria”, (który posiadamy w poetyckim przekładzie Marji Konopnickiej), ma być dzięki inicjatywie komitetu włoskiego w Paryżu wystawiony w teatrze Sary Bernhardt. Rola tytułową ma grać Marja Melato, świetna interpretatorka tej wiejskiej dziewczyny, córki czarownika.

Akademia Włoch.

Rozważana już oddawna i dyskutowana sprawa Akademii Włoch wchodzi obecnie w stadium realizacji.

Jeszcze w ciągu marca ma nastąpić uroczyste otwarcie Akademii, której siedziba będzie się mieściła w pięknym i bogatym pałacu renesansowym Farnesina. Prezesem Akademii mianowany jest przez Mussoliniego senator Tomaso Tittoni; Akademia będzie

się składała z 60-ciu członków, z których połowę już mianowano, drugą zaś połowę przedstawi Akademia do zatwierdzenia prezesowi rządu. Na każdego członka proponuje Akademia trzech kandydatów.

Cele i prace Akademii są najdokładniej określone statutem; poszczególnymi sprawami będą się zajmowały sekcje, których będzie cztery: sekcja historyczna, matematyczno-fizyczna, literacka i sekcja artystyczna. Z chwilą gdy liczba Akademików już będzie pełna, do każdej sekcji będzie należało po piętnastu członków.

Na czele Akademii stoi prezes, obok niego będzie czterech wiceprezesów, jako przewodniczący poszczególnych sekcji. Prócz tego będzie sekretarz i administrator, wszyscy wybierani na pięć lat z pośród Akademików. Wraz z prezesem będą stanowili Radę Akademicką.

Zagadnieniem ważnym jest również kwestja mundurów na wielkie uroczystości!

Każdy z Akademików będzie otrzymywał pensję w sumie trzydziestu sześciu tysięcy lirów rocznie, nie licząc wydatków nadzwyczajnych.

Wydatki na Akademię są objęte budżetem państwowym.

Śmierć znakomitego artysty.

W Neapolu zmarł Vincenzo Gemito, jeden z najznakomitszych rzeźbiarzy świata.

Rzeźby i rysunki tego współczesnego Michała Anioła, zebrane przed paru miesiącami na zbiorowej Wystawie w Neapolu budziły ogólny zachwyt.

Życiem i twórczością wielkiego Zmarłego zajmujemy się w najbliższym czasie.

Fr. S.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Sztuki autorów austriackich.

Lernet-Holenia, jeden z najzdolniejszych literatów austriackich młodszego pokolenia napisał ostatnio sztukę: „Nocne Wesele” („Nächtliche Hochzeit”), której premiera ma się odbyć wkrótce w Berlinie. Z zaciekawieniem oczekiwana jest ta sztuka na tle romantycznym, rozgrywająca się w starym zamczysku, w którym „straszą duchy”.

Inne sztuki tego samego autora: „Parforce” i „Tumult” są obecnie grane w Monachjum.

Sukces autora austriackiego.

Drugi autor wiedeński, Stefan Kamare, którego sztukę „Leinen aus Irland” wystawił w tym sezonie teatr „in der Josefstadt” osiągnął setne przedstawienie, co należy do wyjątków w owym wcale obszernym teatrze.

Sensacyjna sztuka amerykańska.

Maks Reinhardt nabył sensacyjną sztukę amerykańską: „Reporter” („The Front Page”), która cieszyła się ogromnym powodzeniem w New Yorku. Boha-

terką sztuki jest dziennikarka, która odkryła wielką zbrodnię.

Sztukę opracował dla Reinhardta znany autor niemiecki, Rudolf Lothar.

Wilhelm Bode.

W Berlinie zmarł w osiemdziesiątym czwartym roku życia sławny historyk sztuki, Wilhelm Bode, naczelny dyrektor i doskonały organizator zbiorów muzealnych berlińskich.

Nowa sztuka Langer w Pradze.

Teatr miejski na Vinohradach w Pradze wystawił obecnie najnowszą sztukę Franciszka Langer: „Nawrócenie Ferdysza Pistory”.

Langer, autor granego niedawno w Teatrze Polskim „Przedmieścia”, a przed paru laty komedji: „Łatwiej przejść wielbłądowi...” zacerpnał tła do ostatniej sztuki znowu z dzielnicy podmiejskich; autor wyznaje, że środowisko to pociąga go w szczególny sposób różnorodnością swych barw i odcieni.

Teatr na Vinohradach, będący pod dyrekcją wielce zasłużonego na polu teatralnym Jarosława Kvapila, którego sześćdziesięciolecie urodzin obchodzono niedawno uroczysto w Pradze i na prowincji, poważną placówką w życiu teatralnym Pragi, dał nowej, realistycznej sztuce Langer godną oprawę sceniczną i dobrą interpretację aktorską ze Stefanikiem na czele, który w roli bohatera dał doskonały typ, zbliżony charakterem do Franka z „Przedmieścia” lub do Raszkolnikowa, który był największym chyba sukcesem ubiegłego sezonu w Pradze.

Uroczystości praskie ku czci Dworzaka.

Na najbliższy okres przygotowuje Praga szereg uroczystości ku czci sławnego kompozytora, Antoniego Dworzaka.

Po licznych koncertach odbędzie się w Narodnim D: dzie cykl operowy, złożony z najlepszych oper Dworzaka: „Rusalka”, „Wanda”, „Armida” i inne.

ODPOWIEDZI

Lemiesz: Z istotnym wzruszeniem przeczytaliśmy pańskie wiersze, pełne tak szlachetnych myśli! Niestety myślenie nie odpowiada formie. Pańska forma poetycka jest słaba, nie posiada własnego stylu, własnej ekspresji.

Artur S. Sosnowiec: Niestety wiersz do brata nie posiada wartości poetyckiej. Rymy i rytmy wymęczone, obrazy pospolite.

J. J. Brzostówka: Myśl zacna, intencja godziwa — wykonanie całkiem lichy. Pisaliśmy już o tem z tego miejsca wiele razy. Nie wystarczy zapal i dobra wola, w poezji potrzebny jest też i talent!

W. M. Lublin: Odpowiadamy Panu z całym spokojem sumienia: Te wiersze są nic nie warte i nie zdradzają żadnych zadatków talentu.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: TADEUSZ HIŻ